

Czego się boicie?

7 czerwca 2015

Posłowie, senatorowie, ministrowie, kardynałowie, arcybiskupi, biskupi, księża, dyrektorzy, prezesi, Bracia Kurkowi, dziennikarze, przyjaciele i koledzy mojego męża – gen. Bronisława Kwiatkowskiego – czego się boicie?

CYWILNA KONTROLA UPOLITYCZNIŁA WOJSKO

Minęło 5 lat od tragicznej soboty, która zniszczyła bezpowrotnie nasze życie. Pięć lat, które nie przyniosły ukojenia naszego bólu, nie odpowiedziały na żadne pytania. Wręcz przeciwnie, przyniosły więcej wątpliwości, namnożyły pytań, które nie pozwalają nam na domknięcie kolejnych etapów żałoby.

Chciałabym niniejszym listem wyrazić swoje rozczarowanie procesem wyjaśniania katastrofy, olbrzymim zaniedbaniem Ministerstwa Obrony Narodowej w zakresie zapewnienia bezpieczeństwa swoim dowódcom, brakiem obrony ich honoru jak również należytego uszanowania generałów po ich śmierci. Chciałabym wreszcie dać obraz życia mojego męża, żołnierza i generała, przedstawić skalę jego obowiązków i wyrzeczeń w stosunku do wynagrodzeń oraz standardu życia, gdyż wiele osób nie zdaje sobie sprawy z ich rozbieżności.

Rodziny „wojskowe”, choć na pierwszy rzut oka wydaje się, że żyją tak samo jak inne, żyją jednak zupełnie inaczej. Ich życie biegnie bowiem zawsze pod dyktando rozkazów. Często nagle i nieoczekiwanie rozkaz przenosi je do innych miast, rozdziela męża i ojca od żony i dzieci na długie miesiące albo i lata. Niektóre rodziny to przetrwały, niektóre nie. Nasza sprostała wszystkim wyzwaniom, jakie zostały jej postawione przez ponad 40 lat służby mojego męża dla Rzeczypospolitej Polskiej.

Jako żona wspierałam mego męża wraz z córkami do samego końca

we wszystkich etapach jego służby. Wspierałyśmy go we wszystkich wyjazdach, nawet w najniebezpieczniejsze regiony świata. Miał w nas zawsze stuprocentowe wsparcie i dzięki temu mógł wspaniale realizować się jako żołnierz w kraju, a także reprezentować Ojczyznę poza jej granicami. Miał kochającą go rodzinę oraz ciepły, zadbany dom, do którego mógł wrócić chociaż na chwilę po trudach poligonów i misji, po miesiącach rozłąki.

Proszę pozwolić, że przybliżę kilka istotnych dla tego listu faktów z życia mojego męża.

W 1973 r. promocja w Wyższej Szkole Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu. Mąż trafił następnie do Dywizji Pancerniej do Żagania. Został dowódcą plutonu, a wkrótce dowódcą kompanii. Przez kolejne lata uzyskiwał wyróżnienie „wzorowego dowódcy” i w nagrodę został wysłany na 3 lata do Akademii Sztabu Generalnego w Warszawie. Przez pierwszy rok mąż był tam sam, przez kolejne 2 lata mieszkaliśmy razem w wynajętym pokoju o pow. 12 m kw. Na wynajęcie przeznaczaliśmy 1/3 pensji kapitana. Po Akademii mąż zdecydował się na służbę w 6. Brygadzie Desantowo-Szturmowej; warunkiem przyjęcia było wykonywanie skoków ze spadochronem. Z upływem lat przeszedł tam wszystkie stanowiska dowódcze i operacyjne.

W 1991 r. mąż wyjechał na 2 lata do Hamburga. Jako pierwszy polski oficer ukończył tam Akademię Dowodzenia Bundeswehry. Po wielu latach trwania zimnej wojny, 47 lat po zakończeniu II wojny światowej pułkownik Kwiatkowski przekazał Komendantowi Akademii Bundeswehry polską flagę, która jest tam osadzona do dnia dzisiejszego. Jego pobyt w Hamburgu zapoczątkował trwającą do dziś wymianę doświadczeń wojskowych. Mąż wyjeżdżając tam na 2 lata, miał zapewniony przez stronę niemiecką akademik, wyżywienie i naukę, a przez stronę polską dietę w wysokości 10 marek na dzień (wystarczało na 2 bilety komunikacji miejskiej), tj. 300 marek miesięcznie. Bilet w jedną stronę z Hamburga do Krakowa kosztował wówczas 200 marek. Chciałam nadmienić, że w hamburskiej akademii byli

oficerowie z 42 krajów – tylko ci z Polski i z Nepalu nie mieli mieszkania. Z rozmów z przedstawicielami innych narodowości wynikało, ile otrzymywali miesięcznie: oficer czeski – 900 marek, węgierski – 1500 marek, a żołnierz z Senegalu – 5000 dolarów.

Po powrocie do kraju mąż został skierowany do pracy w Oddziale Planowania Operacyjnego Zarządu Operacyjnego w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego. W 1993 r. objął stanowisko w Dowództwie Krakowskiego Okręgu Wojskowego jako Szef Oddziału Rozpoznania i Walki Radio-Elektronicznej. Od września 1995 r. rozpoczął roczną służbę w Polskim Kontyngencie Wojskowym w ramach Sił Stabilizacyjnych na Bliskim Wschodzie w Syrii (UNDOF), jako dowódca kontyngentu. W ciągu całego tego roku w domu był tylko raz, przez 2 dni. Zarabiał tyle samo, co stacjonujący tam sierżant z Austrii.

W 1996 r. powrócił do 6. Brygady Desantowo-Szturmowej, tym razem jako dowódca. Jednostka dowodzona przez gen. Kwiatkowskiego, jako pierwsza uczestniczyła w realizacji programu NATO „Partnerstwo dla Pokoju”. Podległe mu oddziały brały udział w operacjach pokojowych na Bałkanach w Bośni i Hercegowinie oraz w Kosowie. Dowodząc brygadą, mąż przygotowywał ją do działań zgodnie ze standardami NATO. Będąc dowódcą (1996-2000), przyjął ponad 100 zagranicznych delegacji wysokiego szczebla, a doskonałe przygotowanie podwładnych żołnierzy skutkowało przyjęciem brygady, jako pierwszej jednostki z Polski (18. Batalion Bielsko-Biała) do struktur NATO. Osoby odwiedzające były zachwycone postawą i wzorowym wyszkoleniem naszych żołnierzy. Mój mąż wykonał z żołnierzami 350 skoków spadochronowych.

Za wysokie wyniki szkoleniowe brygada w tym okresie otrzymała dwukrotnie „Znak Honorowy Sił Zbrojnych” wręczony przez Prezydenta RP. W 1998 r. mąż został mianowany na stopień generała brygady.

W lipcu 2003 r., jako jeden z najbardziej doświadczonych

oficerów, został mianowany na stanowisko zastępcy dowódcy Wielonarodowej Dywizji Centrum- Południe w Iraku. Wraz z dowódcą dowodził żołnierzami z 25 krajów. Była to pierwsza, szczególnie wymagająca zmiana. Żołnierze wraz ze sprzętem dotarli do portu w Kuwejcie i stamtąd konwój, wraz z całym ekwipunkiem, musiał przejechać do Iraku. Trzeba było zbudować bazę wojskową od podstaw. W Iraku nie było wolnych sobót ani niedziel. Jako zastępca był wszędzie tam, gdzie było zagrożenie, gdzie ginęli żołnierze i gdzie byli ranni. Kiedy zginął żołnierz z jakiegokolwiek kraju członkowskiego z tej wielonarodowej dywizji, mój mąż wraz z kapelanem był osobiście przy każdej zamykanej trumnie.

Po powrocie do kraju został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W uznaniu zasług i profesjonalizmu w służbie, na wniosek Dowódcy Wojsk Lądowych, został wyróżniony nagrodą miesięcznika „Raport – Wojsko, Technika, Obronność” jako najlepszy dowódca w Polskich Siłach Zbrojnych.

W maju 2004 r. decyzją ministra obrony narodowej gen. Kwiatkowski został wyznaczony na stanowisko zastępcy dyrektora Centrum Szkolenia Sił Połączonych NATO w Bydgoszczy, będąc odpowiedzialny ze strony polskiej za tworzenie Centrum NATO. Pensja daleko odbiegała od standardów NATO, a mężowi przydzielono pokój z ciemną kuchnią, za który sam sobie płacił.

Od lutego 2005 r. został ponownie skierowany do Iraku, tym razem już przez dowództwo NATO na stanowisko szefa szkolenia Armii Irackiej w Bagdadzie.

Pan Prezydent Kwaśniewski był z oficjalną wizytą w Waszyngtonie na przełomie października i listopada 2004 r. i wtedy został poproszony, aby generał Kwiatkowski został mianowany szefem szkolenia Armii Irackiej do Bagdadu. Gen. Kwiatkowski szkolił w Bagdadzie najwyższe kadry wojskowe Armii Irackiej. Jako rodzina doskonale wiemy, że były to dla niego bardzo trudne i wymagające miesiące, pełne wyzwań i

niepewności. Przebywał wśród 12 tysięcy Irakijczyków, często podróżując po czerwonej strefie. W sierpniu 2005 r. po powrocie z Iraku został awansowany na stopień generała dywizji i wyznaczony na zastępcę dowódcy 2. Korpusu Zmechanizowanego w Krakowie.

W lipcu 2006 r. po raz trzeci wyjechał do Iraku, tym razem jako dowódca VII Zmiany Wielonarodowej Dywizji Centrum-Południe. Służba nie należała do najłatwiejszych, gdyż przez pierwsze dwa miesiące na bazę spadły 174 rakiety, a w jej okolicach podłożono kilkadziesiąt ładunków wybuchowych. Nie muszę opisywać, co w takich okolicznościach przeżywali dowódca, żołnierze oraz ich rodziny. Przytoczę tylko jeden epizod. 10 minut przed godz. 17, na którą planowana była kolacja, spadło na bazę 11 rakiet, w tym kilka na stołówkę, która całkowicie się spaliła. Na kolację przychodziło nawet do 1000 żołnierzy. W pierwszym momencie wszyscy przeżyli nieopisany stres, padały pytania, ile osób rannych, ile zabitych, a za chwilę niedowierzanie i radość, że wszyscy przeżyli ten atak.

Mąż zastanawiał się, co było przyczyną tego zmasowanego ataku na bazę. Swoje wysiłki skupił na poprawie kontaktu z lokalnymi władzami, budowie wzajemnego zaufania. Ogromny wkład jego pracy w nawiązanie dobrych wzajemnych stosunków z lokalną ludnością i władzami (szejkami) doprowadził do ustania ostrzeliwań bazy. Ataki zdarzały się bardzo sporadycznie. Ta zapoczątkowana udana współpraca między stacjonującym wojskiem a miejscową ludnością była potem kontynuowana przez kolejnego dowódcę dywizji, śp. gen. Buka. Mogliśmy Irakijczykom przekazać władzę i zakończyć misję.

Jako dowódca VII zmiany w Iraku mąż otrzymywał 3000 dolarów miesięcznie. W tym czasie wartość dolara wynosiła poniżej 2 zł, więc za pół roku służby przywiózł w sumie 35 000 zł. Za pobyt poza granicami kraju należał mu się również dodatek reprezentacyjny, jednak po powrocie do Polski okazało się, że wymagane były rachunki w języku polskim, co w istocie uczyniło

dodatek niewypłacalnym.

DLACZEGO NAPISAŁAM O TYCH KWOTACH?

Ponieważ wiele osób nie zdaje sobie sprawy ze stosunku wysiłku oraz odpowiedzialności do wysokości pobieranego wynagrodzenia. Dwa lata nieprzespanych nocy, brak weekendów, spokojnych niedziel czy świąt. A to były tylko dwa lata z ponad 40-letniej służby obfitującej w ciągłe wyrzeczenia dla wojskowej służby kosztem rodziny. Proszę również wziąć pod uwagę zakres odpowiedzialności, jaka spoczywała na moim mężu, co przeżył i czego doświadczył. A mimo to nigdy nie wykorzystał ani grosza ze służbowych pieniędzy na prywatne cele, jak to niestety czyni wielu wysoko postawionych urzędników państwowych. Po katastrofie smoleńskiej okazało się, że MON nie ubezpieczał mojego męża. Żołnierz, który non stop odbywał podróże służbowe i jeździł po całej Polsce, nie miał wykupionej polisy.

W sierpniu 2006 r. decyzją MON mąż został uhonorowany wpisem do Księgi Honorowej Ministra Obrony Narodowej za udział w misjach pokojowych i stabilizacyjnych oraz zaangażowanie w proces szkolenia w ramach Sojuszu Północnoatlantyckiego. W uznaniu zasług 11 listopada 2006 r. został odznaczony najwyższym współczesnym odznaczeniem – Krzyżem Komandorskim Orderu Krzyża Wojskowego z numerem 001. W maju 2009 r. Prezydent RP mianował go Kanclerzem Kapituły Orderu Krzyża Wojskowego na pięcioletnią kadencję.

20 kwietnia 2007 r. mąż został dowódcą operacyjnym Sił Zbrojnych, przejmując odpowiedzialność za obronę granic naszego kraju w przestrzeni powietrznej oraz dowództwo nad wszystkimi żołnierzami przebywającymi na misjach poza granicami Polski. Organizował i kończył misję w Iraku, organizował misję w Afganistanie, organizował i kończył misję w Czadzie. Każdy jego wyjazd do żołnierzy (16 razy do Iraku, 14 razy do Afganistanu, 4 razy do Czadu) powodował, że rodzina żyła w ciągłym stresie, czy wróci cały do domu.

Mąż bardzo sumiennie podchodził do pełnionych zadań. Czuł się w obowiązku być blisko swoich żołnierzy. Witał i żegnał wszystkich wyjeżdżających i powracających z kolejnych zmian. Był na lotnisku i Mszy św. podczas przylotu każdej trumny z ciałem zmarłego żołnierza, nie opuścił żadnego pogrzebu. Z tego powodu często nie wracał do domu nawet na weekendy. Kiedy sporadycznie bywał w domu, nawet noce nie należały do spokojnych, gdyż podwładni informowali swojego dowódcę o wszystkich atakach bez względu na porę dnia lub nocy. Wielokrotnie powtarzały się telefony o godzinie pierwszej w nocy – był to sygnał, że coś stało się żołnierzom. Często trzeba było zorganizować natychmiastowy przerzut żołnierzy do szpitala albo transport zwłok do kraju. Oczywiście nie było mi to obojętne, często już do rana nie spałam, przeżywając tragiczne wydarzenie wraz z mężem, a także duchowo z rodzinami, które straciły bliskich. W 2004 r. w Iraku zginął syn mojej siostry; dokładnie wiedziałam, co czują rodziny tych żołnierzy w takich chwilach.

Praktycznie od 1996 r. mąż miał zaległości w wykorzystaniu urlopu. Wciąż wyznaczany był na nowe stanowiska, wciąż były jakieś ćwiczenia, wyjazdy, szkolenia, kontrole. W dniu śmierci miał ponad 240 dni zaległego urlopu. Na prawie 40 lat naszego małżeństwa przez ponad 20 lat męża nie było w domu. I to nie było tak, że mieszkał po prostu w innym mieście, bo tam miał pracę i przyjeżdżał do domu lub ja jeździłam do niego. Stacjonował w najbardziej niebezpiecznych zakątkach świata i nie było mowy o przyjazdach, a często nawet o rozmowach.

Wszystko było na mojej głowie, szkoła dzieci, dom, moja praca. Ale cieszyłam się, bo stworzyłam kochany dom, w którym mój mąż mógł odpoczywać, a potem wykonywać Wasze – Polityków – rozkazy. Moje dzieci nie pamiętają spaceru z tatą.

Mój mąż generał Bronisław Kwiatkowski był jednym z najbardziej doświadczonych polskich dowódców, posiadającym wysoki autorytet zarówno wśród żołnierzy, jak i dowódców NATO. Był współautorem nowych programów oraz rozwiązań operacyjnych

szkolenia wojskowego. Biegle władał językami angielskim, niemieckim i rosyjskim. Otrzymał wiele odznaczeń w kraju i za granicą, m.in. najwyższe odznaczenie Stanów Zjednoczonych przyznawane obcokrajowcom – Legion of Merit.

28 maja 2011 r. podczas wizyty w Polsce spotkał się z nami, wdowami po generałach, prezydent USA Barack Obama. Wtedy usłyszałam dużo ciepłych słów na temat mojego męża – jakim był wspaniałym, skromnym człowiekiem, dowódcą o ogromnej wiedzy i autorytecie.

Przyjmijmy teraz jednak nieco szerszą perspektywę. Po 1989 r. władza cywilna przejęła kontrolę nad armią i to ona prowadziła politykę kadrową oraz miała zabezpieczać pieniądze na sprzęt dla wojska. Żołnierze się cieszyli, bo rozumieli, że wojska będzie mniej, ale będzie lepiej wyposażone. RESTRUKTURYZACJA – piękne słowo, często powtarzane przez polityków, za którym kryła się jednak praktycznie LIKWIDACJA. Likwidacja kilkunastu jednostek, dywizji, brygad, szkół oficerskich. I nic w zamian. Zaoszczędzone środki nie trafiały do pozostawionych jednostek. Do tej pory dotyka je ciągła zmiana nazw i struktur. Idą za tym ogromne koszty, a także obniżanie liczby etatów, ciągłe szukanie oszczędności. Ciągła manipulacja i odbieranie tego, co było wcześniej przyznawane. Żołnierze nie mają takiego samego prawa głośno mówić o swoich niepokojach i domagać się swoich praw jak inne grupy społeczne. Obserwuję z żalem, że polityka prowadzona w wojsku od kilku lat doprowadziła i dalej doprowadza do totalnego chaosu w armii. Na potwierdzenie tego można przytoczyć otwarty list żołnierzy, który został wysłany do 50 posłów i senatorów, opublikowany w niezależnych mediach (23 stycznia 2015 r.). Oczywiście bez imiennych podpisów, gdyż żołnierze wiedzą, że od razu poszliby na bruk, bo tak było i dalej jest w wojsku.

Niestety, to nie kto inny, jak cywilna kontrola upolitycyznała wojsko. Mój mąż przez 41 lat pracował z wszystkimi prezydentami, ministrami, nikogo nie dzielił i wszystkich szanował. Politycy jako, przełożeni i zwierzchnicy chcieli

mieć odpowiedzialnego, niezawodnego człowieka, dlatego proponowali mu coraz wyższe stanowiska. I to właśnie podczas obecnych rządów doszło do zaostrzenia relacji i retoryki politycznej w kraju. Mój mąż nie miał np. prawa skorzystać z jakiegokolwiek zaproszenia pana Prezydenta Lecha Kaczyńskiego czy ministra Szczygły bez zgody ministra Klicha. Zawsze każde wyjście musiał zameldować i zdać relację, w jakim celu tam idzie. Pan Klich zachowywał się tak, jak gdyby armia to był jego własny folwark. Minister, z wykształcenia lekarz medycyny, i jego sekretarka mieli więcej do powiedzenia w wojsku niż generał broni. Żołnierze nie mogli liczyć na należyte wsparcie pana ministra, gdyż liczył się dla niego tylko jego osobisty wizerunek.

Oto kilka przykładów:

Ustawa z 24.05.2007 r. precyzuje, czym jest Dowództwo Operacyjne, jakie jest jego miejsce w systemie dowodzenia i zakres obowiązków, do których należało m.in. przeprowadzenie ćwiczeń.

Rok 2008 – ćwiczenia Anakonda; mąż przygotowywał je prawie 2 lata, jednak na 2 tygodnie przed ich rozpoczęciem pan Klich zabrał mu dowodzenie. Pamiętam zdenerwowanie i żal mego męża. Nie dał za wygraną i osobiście udał się na rozmowę do ministra. Ostatecznie poprowadził te ćwiczenia, ale pan Klich zabrał wszystkie oficjalne zaproszenia i zabronił zapraszania kogokolwiek na finał ćwiczeń. Prawie dwa lata przygotowań, poświęceń wielu setek żołnierzy, którzy chcieli się pochwalić dorobkiem, wyszkoleniem przed Prezydentem RP, ale pan Klich zabronił kogokolwiek zapraszać. Nie było więc zwierzchnika Sił Zbrojnych, pana Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, i wielu innych osób. Żołnierze byli oczywiście zawiedzeni; w tej sytuacji mieli nawet prawo pomyśleć, że prezydent ich lekceważy.

Pamiętam, jak w styczniu 2009 r. min. Klich wezwał w niedzielę do Warszawy mego męża na odprawę. Szukał dalszych oszczędności w wojsku, o jakie prosił premier Tusk. Zamiast zapytać do-

świadczonego generała, gdzie najlepiej można zaoszczędzić pieniądze, jedynie poinformował mojego męża, że postanowił zlikwidować misje ONZ (Wzgórza Golan, Liban, Czad). Były to misje, których koszty praktycznie w całości pokrywało ONZ. Polska przez ponad 35 lat zarabiała na tych misjach, bo MON nigdy nie wypłacało pełnej kwoty, jaką ONZ płaciło za żołnierzy. Przez te wszystkie lata nasi żołnierze szkolili się, zdobywali wiedzę i doświadczenie na misjach w różnych rejonach świata za pieniądze ONZ. Mąż uważał, że likwidacja misji ONZ będzie niekorzystna dla polskiego wojska, więc przygotował pismo i przedstawił wszystkie za i przeciw. Jednak pan Klich wydał polecenie natychmiastowego zablokowania pisma mojego męża, tak aby czasem dziennikarze się o tym nie dowiedzieli. A Polska roczną składkę do ONZ tak czy inaczej płaci.

W 2009 r. pan Prezydent Lech Kaczyński zaproponował mężowi, żeby został szefem sztabu. Min. Klich był oburzony tą decyzją, powołując się na ustawę, która przewiduje pracę generałów do 60. roku życia; z uwagi na ten zapis mój mąż nie mógłby pracować przez pełną kadencję. Wkrótce jednak minister Klich przedłużył wiek odejścia na emeryturę innemu, bardziej zaprzyjaźnionemu generałowi. Stało się to po cichu, w niejasnych okolicznościach.

Od przełożonych oczekuje się, że powinni wykazać minimalną inicjatywę w rozwiązywaniu problemów, by pomóc żołnierzom i dowódcy. Niestety okazało się, że dla pana Klicha jego medialny wizerunek był ważniejszy niż organizacja pomocy w sytuacji kryzysowej czy nawet ustalone procedury.

To, co działo się po śmierci kapitana Daniela Ambrozińskiego, przekroczyło jednak wszelkie granice. Mąż chciał uszanować rodzinę zmarłego oraz rodziny ciężko rannych żołnierzy. Procedura jest taka, że najpierw informuje się o wypadku rodziny, a dopiero później media. Mąż czekał na potwierdzenie od dowódcy Wojsk Lądowych (to te wojska mają ludzi w terenie) o powiadomieniu rodzin. Niestety pan Klich nie uszanował

procedury – najpierw poinformował media i wysłał je pod bramę Dowództwa Operacyjnego. Sekretarka ministra, pani Bartkowska, nieustannie dzwoniła do dowództwa, pytając, co się tam dzieje, że nikt nie informuje mediów. Posiadam pismo, które dotyczy tej sytuacji. Pamiętam rozmowę męża z panem Klichem i panią Bartkowską, do której powiedział, że on nigdy nie zwrócił się do szeregowego w takim tonie, w jakim ona zwróciła się do niego, trzygwiazdkowego generała.

Mąż kochał wojsko, ale polityka sprawiła, że był już tylko zmęczony. Ponieważ od dawna miał wypracowaną emeryturę, złożył papiery o odejście z armii, uzasadniając swą decyzję panującą sytuacją oraz stylem dowodzenia armią przez ministerstwo. Minister Klich poprosił męża wtedy na rozmowę, bardzo go za wszystko przepraszał. Mąż przyjął przeprosiny i zgodził się zostać, wydał jednak oświadczenie, w którym przedstawił swoje uwagi i zastrzeżenia. Bardzo nie spodobało się to panu Klichowi, wysłał więc do Dowództwa Operacyjnego wszystkie kontrole, jakie były możliwe. Pytałam męża, czy się nie boi, powiedział: „jestem spokojny”. Klich kontynuował politykę upokarzania generałów. Kiedy leciał do żołnierzy w Iraku czy Afganistanie, nie zabierał generałów ze sobą. Niektórzy z nich nawet przez 3 lata nie byli u swoich żołnierzy, lecieli dopiero wtedy, gdy napisali o to specjalną prośbę do pana Klicha. Jednak samolot zawsze był wypełniony, zawsze leciała pani Bartkowska, a miejsca dla dowódców stacjonujących na misjach żołnierzy zazwyczaj brakowało.

10 KWIETNIA 2010 r. – NIEOPISANY SZOK...

Wszyscy generałowie polecili do Smoleńska za pozwoleniem swojego szefa, albowiem każdy wyjazd musiał być zatwierdzony przez szefa MON w osobie Bogdana Klicha. Pan Prezydent wystosował pismo do ministra obrony narodowej z prośbą o reprezentowanie wojska, ale to przełożony generałów, minister Klich zdecydował, żeby lecieli wszyscy.

Dlaczego minister Klich wysłał wszystkich generałów, dowódców

wszystkich rodzajów sił zbrojnych w jednym samolocie? Gdzie były przepisy po katastrofie CASY? Za co odpowiada cywilna kontrola nad armią? Kto nie przestrzegał przepisów?

Obowiązkiem męża było szkolić i dbać o bezpieczeństwo swoich żołnierzy, a obowiązkiem cywilnej kontroli nad wojskiem było m.in. zadbanie o bezpieczeństwo jego dowództwa. Pan minister Klich tłumaczy się teraz, że o niczym nie wiedział. Jak poważny człowiek może się tak tłumaczyć? Jak można kierując przez kilka lat firmą, resortem, szkołą tłumaczyć, że nic się nie wiedziało? To minister wydał dyspozycję, potwierdzając pismo pana Prezydenta, że mają lecieć wszyscy- to był rozkaz dla Dowódców: lecieć.

Na panu Klichu spoczywała odpowiedzialność za nieodbyte szkolenia i inne konsekwencje wynikłe z braku środków. Środków, które zostały wyszarpnięte żołnierzom i to przez osobę, która jako minister obrony powinna dbać o rozwój i bezpieczeństwo żołnierza, zabiegać o te środki, a nie zwracać je do budżetu.

W każdy poniedziałek w MON odbywała się odprawa z ministrem Klichem.

12 kwietnia 2010 r. w poniedziałek, na odprawie nie było żadnego generała, wszyscy zginęli:

1. gen. Franciszek Gągor – szef Sztabu Generalnego
2. gen. broni Bronisław Kwiatkowski- dowódca operacyjny Sił Zbrojnych RP
3. gen. dywizji Włodzimierz Potasiński – dowódca Wojsk Specjalnych
4. gen. dywizji Tadeusz Buk – dowódca Wojsk Lądowych
5. admirał floty Andrzej Karweta- dowódca Marynarki Wojennej
6. gen. broni. pilot Andrzej Błasik – dowódca Sił Powietrznych

7. gen. brygady Kazimierz Gilarski – dowódca Garnizonu Warszawa

15 sierpnia 2010 r., Dzień Wojska Polskiego w Krakowie. Pan Klich, który wtedy przemawiał, nie wspomniał nawet słowem dwóch generałów – Kwiatkowskiego i Potasińskiego, którzy przez długie lata tak wiele zrobili dla wojska w Krakowie. Usłyszałam tylko zachwyt pana Klicha nad własnymi pomysłami; samochwalstwo bez pokrycia.

10 kwietnia 2011 r. w 1. rocznicę katastrofy na uroczystościach w Warszawie Bogdan Klich pogratulował mi... miejsca na cmentarzu, gdzie spoczywa mój mąż. Uśmiechnięty zwrócił się do mnie, że pewnego dnia w piękną pogodę poszedł z żoną na spacer na cmentarz na Salwatorze i musi przyznać, że gen. Kwiatkowski ma bardzo ładne miejsce, z którego ogląda cały Kraków. Były to jego jedyne słowa, jakie skierował do mnie od czasu katastrofy.

A co zrobił minister Klich, żeby nie zginął żołnierz Wojska Polskiego? Odszedł po kilkunastu miesiącach od katastrofy, otrzymując odprawę. Został senatorem, wykłada też w swoim instytucie, który założył w 1993 r. Mówi tam o bezpieczeństwie, o które sam nie potrafił zadbać.

Już 11 kwietnia 2010 r. pan Tusk powołał Bogdana Klicha do zespołu, który miał wyjaśnić, co stało się pod Smoleńskiem. Prezydent Komorowski 20 maja 2010 r. powołał Bogdana Klicha w skład Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Zapytam retorycznie: jaką odpowiedzialność poniósłby mój mąż, gdyby zginęło mu 96 żołnierzy, w tym 7 generałów? Czy Prezydent powołałby do komisji mojego męża, by sam wyjaśnił swoją sprawę? Awansowanie po katastrofie wszystkich osób, które były odpowiedzialne za stan państwa i przygotowanie tej wizyty, to następny szok.

Kolejnym szokiem jest brak poszanowania honoru polskiego żołnierza, o czym świadczy to, jak została przedstawiona rola Prezydenta Kaczyńskiego czy gen. Błasika; ofiary katastrofy

nie mogły się same bronić. Prezydent, jako zwierzchnik Sił Zbrojnych, powinien był zadbać o przeproszenie pani Ewy Błasik za fałszywe oskarżenia wobec jej męża. Wiedział doskonale to, co potwierdziła prokuratura: że gen. Błasik nie był pijany i nie było go w kokpicie. A taka opinia popłynęła na cały świat. Prezydent, który tyle lat współpracował z żołnierzami, nie zadbał o honor żołnierza i nie zdementował plotek oraz pomówień. Z doświadczonych żołnierzy, którzy całe życie poświęcili służbie i byli doceniani na całym świecie, zrobiono alkoholików i nieudaczników działających na własną rękę.

Za tragedię smoleńską obwinia się pilotów i wojsko. Dlaczego nie zapytać pierwszych asystentów szefa Sztabu Generalnego, gen. Stachowiaka i gen. Majewskiego, którzy byli odpowiedzialni za siły powietrzne w okresie katastrofy, jak faktycznie było w tym wojsku? Czy to nie jest tak, że postawiliście gen. Majewskiego na najwyższe stanowisko, żeby przykrył wasze błędy i niedociągnięcia cywilnej kontroli na armią? Generałowie nie raz zgłaszali swoje problemy, tylko nie miał kto ich słuchać.

Rok po katastrofie prokuratura przesłuchiwała nas na zlecenie prokuratury rosyjskiej, pytając m.in., gdzie mąż leczył zęby, jakie miał operacje, kiedy i gdzie leżał w szpitalu. Dlaczego o to pytano? Czy po to, żeby było można spreparować dokumenty?

Przeglądając dokumentację w prokuraturze 3 lata po katastrofie, dowiedziałam się, że część ciała mojego męża pochowano na cmentarzu na Powązkach. Niestety nikt mnie o tym nie powiadomił i niestety są kolejne wątpliwości oraz braki w dokumentacji medycznej. Nie są znane miejsca pochówku fragmentów, których nie ma w grobie, a które były w Moskwie. Córkę napisały pismo do prokuratury z pytaniem, gdzie jest ich tata. Otrzymałyśmy odpowiedź, że wciąż czekają na informację z Moskwy.

18 kwietnia 2014 r. Żandarmeria Wojskowa poinformowała wszystkie rodziny, że są jeszcze do odebrania rzeczy po

naszych bliskich. Byłam bardzo zaskoczona – skąd się wzięły? Okazało się, że znaleźli je we wraku jesienią 2013 r. Były to płaszcze, duże torby i wiele innych rzeczy. Przywiozłam stamtąd też rzeczy męża. Pytam więc: jak przeszukany został wrak po katastrofie? Jak można wierzyć obecnej pani premier, która kłamała, że zrobiono to z najwyższą starannością?

Przez 41 lat patrzyłam na ogromną odpowiedzialność mojego męża. Było nie do pomyślenia, aby nie był osobiście przy każdej zamykanej trumnie poległego żołnierza. A jak potraktowano jego samego? Nawet nie wiemy, co jest w trumnie mego męża, bo nie mamy jeszcze pełnej dokumentacji medycznej. Jak my mamy normalnie żyć i zamknąć czas żałoby? Nie mamy wraku, czarnych skrzynek, żadnych dowodów. Dlaczego Holandii udało się przywieźć wrak z terenów objętych działaniami wojennymi parę miesięcy po katastrofie, a my czekamy już 5 lat? Dlaczego nie ma dobrej woli ze strony polityków, żeby przeanalizować i porównać ustalenia oraz hipotezy naukowe ekspertów z zagranicy i profesorów związanych z Konferencją Smoleńską z ustaleniami rządowych ekspertów? Jestem daleka od sugerowania czegokolwiek. Ale domagam się dogłębnego wyjaśnienia wszystkich pytań i nieścisłości, jakie się pojawiają.

Dlaczego nie ma dobrej woli ze strony Prezydenta, jako Zwierzchnika Sił Zbrojnych, w sprawie powołania Komisji Międzynarodowej? Aby nareszcie zakończyć te przykre insynuacje ostatecznym, niezależnym raportem. Dlaczego europarlamentarzyści PO zablokowali ten pomysł? CZEGO SIĘ BOICIE? Nie wierzę w to, co komisja Putina napisała w swoim raporcie, tak jak nie wierzę w oświadczenie Rosji, że to Ukraina zestrzeliła samolot MH 100.

Czy to jest w porządku, że za ujawnienie polskich kont białoruskiego opozycjonisty są konsekwencje służbowe, a za zbagatelizowanie pisma, które dotarło do MSZ z ambasady w Moskwie, że lotnisko Smoleńsk-Siewiernyj nie jest przygotowane do przyjmowania takiej rangi samolotów, co w skutkach

doprowadziło do śmierci tylu osób, nie poniósł konsekwencji NIKT?

Prezydent mówił w swoich przemówieniach, abyśmy wspólnie cieszyli się z 25-letniej wolności. Razem z mężem cieszyliśmy się wkładem wniesionym w nasz kraj, w wojsko, w NATO. Od 1998 r. kiedy tylko mąż był w kraju, uczestniczyłam z nim wspólnie w obchodach świąt 3 maja, 15 sierpnia i 11 listopada w Warszawie. Dzisiaj w tych dniach mam łzy w oczach. Myślę wtedy, że mąż walczył o wolność i demokrację na całym świecie, a zginął w wolnej Polsce, która nie zadbała ani o jego bezpieczeństwo, ani o należyte wyjaśnienie katastrofy. A na dodatek pan Niesiołowski, obecny przewodniczący Komisji Obrony Narodowej, nazywa nas, rodziny ofiar katastrofy, „sektą smoleńską”.

To bardzo boli. Czy takie ma być podziękowanie dla generała i jego rodziny za całe życie pełne poświęceń dla tego kraju? Jak można osoby, które czekają na wyjaśnienie okoliczności śmierci swych najbliższych, nazywać sektą? Moim zdaniem gdyby nie determinacja wielu osób, już dawno śledztwo byłoby zamknięte. Doradca Prezydenta, pan prof. Tomasz Nałęcz, w wypowiedzi z 20 lutego 2015 r. dla „Rzeczypospolitej” powiedział, że Andrzej Duda kojarzy mu się ze śmiercią Barbary Blidy. A mnie pan Tomasz Nałęcz, pan Prezydent Komorowski, pan Tusk i pan Bogdan Klich, minister obrony narodowej, za zaniechanie powinności obrony honoru wojskowego oraz obowiązku należytego wyjaśnienia okoliczności katastrofy zawsze będą się kojarzyć ze śmiercią:

Gen. Franciszka Gągora, Gen. broni Bronisława Kwiatkowskiego, Gen. pilota Andrzeja Błasika, Gen. admirała Andrzeja Karwety, Gen. dywizji Włodzimierza Potasińskiego, Gen. dywizji Tadeusza Buka, Gen. Wojciecha Lubińskiego, Gen. brygady Kazimierza Gilarskiego, Ks. Bp. gen. dyw. Tadeusza Płoskiego, Ks. Abp. gen. bryg. Mirona Chodakowskiego. I wielu innych zacnych osób.

Na koniec sprawa pomnika, który ma stanąć w Warszawie. Nie zdobył się pan Prezydent na wysłanie pisma, które zostało

napisane w jego kancelarii, do wszystkich rodzin. Rodziny nie miały okazji wypowiedzieć się, co myślą w kwestii tego pomnika. Z telewizji dowiaduję się, że ma kosztować 7 milionów. Jestem przeciwna wydawaniu takich pieniędzy.

Z poważaniem: Krystyna Kwiatkowska

Źródło: Stefczyk.info